

*Uciec od siebie
czyli Oni i Dziej*

Jolanta Nasilowska

CZ. 2



Jolanta Nasiłowska
„Uciec od siebie, czyli Oni i D ej cz.2”

Copyright © by **Jolanta Nasiłowska**, 2016
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana
i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: **Jacek Antoniewski**
Projekt okładki: **Robert Rumak**
Korekta: **Paweł Markowski, Marlena Rumak**
Ilustracje na okładce: © **draganm – Fotolia.com**

ISBN: 978-83-7900-614-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Ogromne podziękowania dla sponsorów:

Anatolowi i Marcie Kałasznikow

za wsparcie i wiarę we mnie

oraz

Firmie PROVIDENT POLSKA SA

za wkład finansowy, przy okazji udziału

w projekcie PASJONACI.

Spis treści

MOJE MIEJSCE5
Ja.5
Codziennosc w słońcu6
Hiszpański byk.	15
Tylko wiatr po nim pozostał	23
Powrót Dżej	34
MOJA DŻEJ.	46
Witamy w kraju	46
Zaszalejemy sobie troszkę?.	55
Czyżby znów?	65
Powiew świeżości.	74
PASMO ROZCZAROWAŃ	80
Pomyłki i wpadki.	80
Dranie na śniadanie	94
Oni.	100
Granice godności.	108
Kim jestem w tym wielkim świecie...	120
Czy potrafię się podnieść	130
Zebrać zasiane plo(a)ny	132
Jej koniec świata	139
Ja, Emma Dżej...	150

MOJE MIEJSCE

Ja

To ja. Emma Dżej Blum. Emma po babci. Dżej? Właściwie trudno wyjaśnić. Rodziców poniosła fantazja. Fani agenta 007 nadali mi takie oto drugie imię...

Przeszłam długą drogę, szukając szczęścia. Już wydawałoby się, że je mam, ale rozprysło się na milion kawałków. Rozprysło i zraniło jak mój pierwszy partner. Znalazłam je dopiero, wędrując z polskiego miasta na koniec świata. W moim małym *El Casa**, w kolorowej Barcelonie, mieszkam z moim szczęściem, które ma na imię Norman. Kocha mnie nad życie. Nie potrzebuję już niczego. Modne stroje zamieniłam na luźne sukienki, wysokie obcasy na płaskie sandały, a markowe torebki na duży, słomiany worek. Rude kędziory zastąpiły wypłowiałe od słońca blond loki. A smutek zamieniłam na radość.

Wydawać by się mogło, że to koniec poszukiwań, lecz...

Codziennosc w słońcu

– Drrrrrrrrrrr!!! – darł się budzik wniebogłosy.

– Boże, która godzina? – zapytałam właściwie samą siebie. Popatrzyłam na zegarek i uderzeniem ręki wyłączyłam go. Spojrzałam za okno. Słońce witało radośnie.

– Dokąd tak wcześnie idziesz? – zapytał leniwie Norman.

Norman. TEN Norman. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o wiecznie nieuczesanej fryzurze. Ciemne włosy podkreślały niebieski kolor oczu. Zza podkoszulka wyłaniał się intrygujący tatuaż, wędrujący od dłoni do karku. Norman. Mój mężczyzna, z którym uciekłam na koniec świata...

– Do szkoły – odpowiedziałam sennie na zadane pytanie, jednocześnie przeciągając się i ziewając. – Dzisiaj zajęcia są rano, bo gruba Hiszpanka ma zmieniony grafik...

Ależ nie chciało mi się wstawać. Długie wieczory nie zachęcają do porannego trybu życia. Ręka Normana przygniotła mnie, nie pozwalając się ruszyć. Jego ciało przylgnęło do mojego, a rozmiar niespodzianki w jego bokserkach zachęcał do figli.

– Neeeeee... – powiedziałam wesoło.

– Oj taaaak... – i zaczął mnie podgryzać.

– Neeeeee... Norman – opędzałam się nieskutecznie, bo on wcale mnie nie słuchał. Zabrał się za to do pozbawienia mnie nocnej, wesołej piżamki w turkusowe owieczki.

Obowiązki jednak wzywały i musiałam się wygramolić z pieleszy.

Zeszłam do kawiarni. Jak zawsze panował tu miły, przytulny nastrój, przeplatany, w zależności od pory dnia, to zapachem kawy z ekspresu, to świeżymi kwiatami i lawendą stojącą w koszach. Na ceglanej ścianie słońce rozbijało swoje promienie,

skacząc po pomieszczeniu i odbijając się, w czym tylko mogli. Wieczorem, palące się na stolikach świece nadawały przytulności temu miejscu.

Włączyłam express, który zapachem mielonych ziaren momentalnie zawładnął pomieszczeniem. Dostawca przywiózł świeże pieczywo i aż grzechem byłoby nie skusić się na małego, słodkiego rogalika. Chwilę zatrzymałam się na tarasie, rozkoszując porankiem i dopiero co zaparzonym napojem. Popatrzyłam na zdjęcie staruszka, które wisiało nad małą komódką stojącą w roku sali.

– Dzień dobry – powiedziałam do fotografii.

Od jego śmierci upłynęło już kilka miesięcy, a ja miałam wciąż wrażenie, że zapach kawy wyciągnie go z pokoju, i jak kiedyś usłyszę kroki na trzeszczących, drewnianych schodach i jego głos w dali, narzekający na ból w kościach. Stary, dobry Jan Malcher. Siadał zawsze przy barze i uśmiechał się tajemniczo, kiedy my biegaliśmy wokół gości. Pewnego dnia położył się spać i już się nie obudził. Miał dobrą śmierć, mimo zżerającego jego organizm raka, zawsze był pogodny. Zawsze co rano szedł do pobliskiego kościółka i wracał sam, uparcie unikając pomocy. W przeddzień śmierci zrobił kolację i zaprosił nas do stołu. Rozlał w kieliszki ulubione, czerwone wino i oznajmił nam:

– Niedługo umrę. Wiem, powtarzam to od czasu jak się poznaliśmy, ale tym razem wiem na pewno. W nocy przyszła do mnie Wandeczka i powiedziała, że czeka już na mnie i że bym się szykował.

– No co ty, Jan! – zachnęłam się wtedy.

– Tak, tak. To prawda. Uszykowałam ubranie i buty. Te czarne, stare. Żadnych modnych, gejowskich lakierok – pogroził, uśmiechnął się i zamilkł.

My wtedy też milczeliśmy, no bo co tu powiedzieć na takie pożegnanie. Pomyślałam, że to takie gadanie staruszka, ale jak

rano nie zszedł na kawę, coś we mnie zadrżało i długo nie myśląc, od razu wezwałam karetkę.

Staruszek odszedł, jak zapowiadał.

– Och, stary wesołku – powiedziałam do fotografii i uśmiechnęłam się do zdjęcia. Prawie byłam pewna, że on też to zrobił. Dokończyłam śniadanie i popędziłam na lekcje moim małym, chabrowym skuterkim.

Budynek, w którym odbywały się zajęcia, był po prostu dwupiętrową szkołą z wydzieloną jedną salą dla nas. Było tam dość gorąco, bo klimatyzacja odmówiła posłuszeństwa. Pod sufitem wisiały wielkie wentylatory, próbujące rozbić ciężkie powietrze. Na próżno. Wszyscy w sali byli spoceni i machali zeszytami przed twarzą.

Od dwóch lat chodziłam na kurs hiszpańskiego, żeby podszlifować język. Wykłady prowadziła dość nudna dziewczyna przy kości. Ona pociła się z nas chyba najbardziej. Może ze stresu, może z gorąca po prostu. Na szczęście chęć poznania języka wzięła górę nad panującymi tu warunkami. Ekipa, która chodziła na wykłady, składała się zazwyczaj z nudnych obcokrajowców, którzy nie mieli ochoty nikogo poznawać. Poza tym, miałam wrażenie, że na każdą lekcję wciąż przychodzą inni ludzie, mniej lub bardziej spoceni. Nie wiem, czy zapamiętywanie ludzi sprawiało mi już kłopot, czy faktycznie ucząca się ekipa była tak niestała.

Zajęcia były prowadzone dwa razy w tygodniu i zazwyczaj trwały około dwóch godzin.

Dzisiaj, jak zawsze, usiadłam w swojej ławce. Tym razem jednak między grubym hawajczykiem a szczupłą francuską. Z uśmiechem przywitałam się z nimi po hiszpańsku.

– *Buenos dias** (dzień dobry).

Ktoś odburknął coś w swoim ojczystym języku. Zapewne były to jakieś mało miłe słowa. Ktoś inny nic nie odpowiedział,

okazując mi wzrokiem niechęć do nawiązania bliższej znajomości. Pozostali nawet nie drgnęli. Siedzieli znudzeni i pocili się jak do tej pory.

– Ojoj, wesoła ekipa dzisiaj. Może się zabawimy, nudziarze? – powiedziałam do nich też w swoim języku, żeby nikt mnie nie zrozumiał i dodałam szeroki, nieszczerzy uśmiech.

– Czemu nie? – ktoś za mną rzucił mi wyzwanie i o dziwo, zrozumiałam go bardzo dobrze.

Odwrociłam się i zobaczyłam mężczyznę, którego wcześniej nie zauważyłam. Nie bywał chyba na zajęciach. Zapamiętałabym go na pewno. Był śniadej cery, miał ciemne włosy i lekki zarost na twarzy. Wyglądał dość świeżo, jak na panujące na zewnątrz i wewnątrz temperatury. Przystojny i lekko zarozumiały, ale przy tym uroczo swojski. Niebezpieczna męska mieszanka. Spoglądał na mnie zawadiacko spod ciemnych okularów.

– O! – rzuciłam zdziwiona, patrząc mu w oczy. – Jak miło. To był tylko żart. Żartowałam – dodałam, aby zrozumiał.

Odwrociłam się, bo właśnie weszła gruba nauczycielka i zaczęłam przygotowywać sobie zeszyt do pisania słówek.

Po chwili poczułam stukanie w plecy.

– Co?! – zapytałam złośliwie, odwracając się.

– Ale ja nie żartowałem. Jestem gotowy do zabawy... Z tobą – i obmacał mnie wzrokiem.

– Nie sądzę – warknęłam.

– *Como te llamas?** (jak się nazywasz?) – powiedziała Hiszpanka, stukając wskaźnikiem o biurko i chcąc zapanować nad grupą. – *Como te llamas?* – powtórzyła, wskazując na mnie.

– *Me llamo Emma** (nazywam się Emma) – odpowiedziałam, odwracając się od mężczyzny, nie chcąc już z nim ciągnąć bezsensownej konwersacji.

– *Donde eres Emma?**(skąd jesteś, Emma).

– *Soy de Polonia.**(Jestem z Polski).

Hiszpanka po kolei odpytała każdego. Ja, oburzona zachowaniem lowelasa, próbowałam skupić się na zajęciach, wciąż przeżywając jego prostacką próbę podrywu i naśmiewając się w myślach z jego mało skutecznej metody. Czułam jednak na sobie jego spojrzenie, a on od czasu do czasu dotykał mnie delikatnie, to stukając w plecy, to niby coś odgarniając czy strzepując. Ignorowałam jego zaczepki, odsuwając się, ale w głowie zagościło jednak niebezpieczne zaciekawienie mężczyzną.

Kiedy zajęcia się skończyły, wyszłam jak najszybciej ze szkoły. Droga do domu zajęła mi niezwykle mało czasu. Mój skuterek pędził dzisiaj jak szalony a ja próbowałam mu nadać przyspieszenie aerodynamiczną postawą, nie zważając na owa dy rozbijające się o moje wyszczerzone zęby. Dotarłam do kawiarni dość szybko. Pobiegłam na górę i ubrałam się w strój do pracy. Gości jeszcze nie było zbyt wielu. Zajęłam się barem, kawą i słodkimi dodatkami. Układając pączki w szklanych witrynkach, o zgrozo, rozmyślałam o mężczyźnie ze szkoły. Bernard, tak miał na imię. Na samo wspomnienie znane ciepło rozplątywało się po moim ciele. Uśmiechając się do siebie, patrzyłam na wesoło mrugające do mnie ciastka, które zachęcały do rozkosznego zatopienia w nich zębów. Oczywiście, że nie zwariowałam i ciastka nie mrugały, ale mogłyby, gdyby rozumiały mój stan.

Około południa zaczął się ruch. Do kawiarni weszło kilku mężczyzn i kobieta. Troje z nich usiadło przy jednym stoliku. Jeden mężczyzna, którego sylwetka wydała mi się jakoś znajoma, usiadł sam. Podeszłam, by przyjąć zamówienie i o mało nie padłam.

– Dzień dobry, Bernardzie – powiedziałam z przekąsem.

Uśmiechnął się tylko, jakby chcąc mnie rozdrażnić. Wziął menu do ręki i już chciał coś zamówić, ale rezygnował. Robił tak kilka razy. Prawdopodobnie po to, by mnie zirytować.

Po dłuższej chwili, kiedy już przytupywałam z nogi na nogę, a on nadal udawał, że nie może się zdecydować co wziąć, powiedziałam:

– Podejdę jednak za chwilę.

On wtedy złapał mnie za rękę i powiedział patrzac mi w oczy:

– Wodę poproszę – i znów się uśmiechnął.

– Wodę – potwierdziłam z krzywym uśmiechem. – Nie wiem czy zdążę przygotować. Taki tu ruch dzisiaj...

– Bezczelny – pomyślałam. – Wodę. Też mi coś.

Weszłam do kawiarni po wodę, ale nie wróciłam do stolika. Wysłałam do niego senioritę Anę Mariję. Moją pomoc. Chciałam mu zrobić na złość.

– Co to za facet? – zaglądając na patio, gadałam do siebie z oburzeniem, kryjąc się jednocześnie za przezroczystą zasłonką. – Ledwo go znam, a już jest wszędzie.

Z zainteresowaniem przyglądałam się przyczajona, jak się zachowuje. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, wyglądający dość swobodnie w niedopiętej, ciemnej koszuli i jasnych, lnianych spodniach. Na jego kręconych, ciemnych włosach, jak diadem królowały modne okulary słoneczne. Patrzyłam, jak zaskoczony pojawieniem się mojej seniority, przyjął zamówioną wodę. Rozbawiło mnie to.

Tak mnie wciągnęło to podglądanie, że nie zauważyłam kiedy pojawił się Norman z pytaniem:

– Dzisiaj jesteś szpiegiem? – zachichotał, a ja podskoczyłam prawie pod sufit, o mało nie zrywając okiennej ozdoby.

– Ja? – mówiłam zmieszana. – Tak tylko patrzę, kto przyszedł.

– Aha – powiedział Norman i spoglądając na mnie dziwnie, poszedł na taras.

Gość w tym czasie wyszedł, nie pożegnawszy się ze mną. Byłam trochę rozczarowana, że mnie nie szukał. Ale po co miałby.

– Uspokój się – zgańlam się, robiąc kawę. – Znow przyciągniesz kłopoty.

– Jakie kłopoty? – zapytał Norman, a ja znow podskoczyłam.

– Boże, co ty się tak czaisz dzisiaj?

– Ja? Normalnie chodzę. To ty jesteś jakaś spłoszona. Coś się stało?

– A niby co miało się stać? – zapytałam oburzona.

– No nie wiem. Może się zakochałaś? – zachichotał.

– Co? – spojrzałam na Normana. – Ale wymyślasz. Idź i pracuj – machnęłam na niego ścierką, lekko bijąc go po plecach.

Norman wyszedł, a ja nie mogłam się skupić na pracy. Cemu? Nie znałam odpowiedzi. Spojrzałam na odchodzącego Normana. Po co mi kłopoty? Mam przecież to, co chciałam, mam miłość faceta, którego kocham.

Spokój i miłe uczucie wypełniły moje wnętrze. Uśmiechnęłam się do siebie. W tym momencie Norman, jakby czuł, że o nim myślę, odwrócił się i wysłał mi buziaka. Posłałam mu szeroki uśmiech.

– Ach, Norman – pomyślałam i głośno westchnęłam.

Norman, mój wybawca. Poznanie go ułatwiło mi decyzję o ucieczce, zostawiając za sobą smutne troski dnia powszedniego oraz Sharka. Sharka Rock. Polaka amerykańskiego pochodzenia, dla którego straciłam głowę.

Wspomnienia o Sharku wiązały się zazwyczaj z melancholią i zadumą. Zawsze zastanawiałam się czy to była miłość, czy fatalne zauroczenie. Związek z Sharkiem co prawda, rozpoczął się bajkowo i tak też się zapowiadał. Pozostawił jednak tylko żal i smutne wspomnienie samej siebie. Przez prawie dziesięć lat bycia z nim, poznałam jedynie swoje smutne wnętrze, które dominowało i nie pozwalało cieszyć się życiem. Moja Emma depresyjnie smutna i budząca się bez chęci do życia, nie umiała sobie poradzić z codziennością. Oziębłość i romans Sharka dobił

ją mocno. Tęskniła za nim, za utraconą miłością, za inną sobą. Za wesołą, niezbyt urodziwą, piegowatą dziewczyną, kroczącą śmiało przed siebie. Zanim go poznała, szła do przodu z zadowoloną miną. Poznawała świat i mężczyzn, których przyciągała jak magnes.

Ale nie tylko Shark był w życiu Emmy. Kiedyś też poznała innego, który również zdominował jej świat. Powolutku pozbawiał ją swobody, usprawiedliwiając swoje czyny uczuciem. Z trudem uwolniła się spod jego jarzma zazdrości. Diabolo. Tak miał na imię i był dość diabolicznie przystojny. Diabolo Leonardo Gracci. Był chyba Włochem. Kochanek dużo starszy, prawie doskonały, gdyby tylko nie chciał zamknąć jej przed światem. Kiedy nareszcie uwolniła się od niego, rzuciła się w wir romanów bez przyszłości, rekompensując sobie tym samym trudny związek. Poznała wówczas swoją drugą osobowość. Dzej. Kobietę bez zahamowań. Lubiącą zabawę i nowe, przygodne znajomości.

Tak. Taka jestem, taka byłam. Dwie osobowości w jednym małym, kruchym ciele. Czasem pogodzone, czasem rywalizujące ze sobą.

Spojrzałam znów na Normana. To on sprawił, że Emma i Dzej znów żyły w harmonii. Ani jedna, ani druga, nie musiały sobie niczego udowadniać. Nareszcie były zgodne i równo idące naprzód. A co najważniejsze, szczęśliwe od prawie dwóch lat... Kochały i były kochane.

Norman zniknął z pola widzenia, a mnie znów ogarnęła niepewność. Skoro jestem szczęśliwa, to raczej nie powinien mnie interesować inny facet. Raczej... A może ja nie umiem być szczęśliwa...? Może specjalnie szukam kłopotów...? Może nie jestem monogamistką? Może moja Dzej jest silniejsza i zaczyna jej brakować wrażeń? Nie, jednak głupie myśli nie wyszły z mojej głowy. Siedziały w jej kąciku i chichotały do siebie, kpiąc sobie ze mnie.

Wyszłam na taras posprzątać po gościach. Norman siedział przy stoliku, pijąc kawę. Podeszłam do niego, usiadłam mu na kolanach i cała wtuliłam się w niego.

– Co się stało, mała? – zapytał.

– Nic – odpowiedziałam cicho.

– Na pewno?

– Tak...

Chyba nie byłam w tym momencie szczerą, ale wtuliłam się jeszcze mocniej.

Norman objął mnie i przytulił. Pocałował w czubek głowy i położył na niej swoją. Było mi dobrze... Czułam jego ciepło i jego uczucie. Było mi bardzo dobrze...